

FRIGYES  
KARINTHY  
**PODRÓŻ**  
**WOKÓŁ**  
**MOJEJ**  
**CZASZKI**

Przełożyła

Anna Górecka



## PRZEDMOWA

w której po pierwsze staram się wyjaśnić, dlaczego zawierzam czytelnikowi tę trudną historię, po drugie zaś, i nade wszystko, usprawiedliwić fakt, że się usprawiedliwiam z czegoś, co jest najbardziej naturalną, najbardziej oczywistą sprawą na tym świecie: pisarz opowiada o czymś, co może przydarzyć się każdemu, a tak się składa – okoliczność godna uwagi – że jemu właśnie się przydarzyło. Piszę o tym, wyciągnąwszy wnioski z wydarzeń kilku ostatnich tygodni: otóż w rozmowach z kolegami po piórze i redaktorami często padało pytanie, czy to właściwe i mądre, aby znany pisarz obierał za temat własne przeżycia, w dodatku dobrze znane czytelnikowi, a zatem jako „ciekawostka” już nieaktualne. Co zaś do mądrości... no cóż, uważam, że w naszym fachu nie zawsze właściwe jest to, co mądre. Taka przeczność za mocno pachnie mi strategią literacką.

W „normalnych” czasach, kiedy nie trzeba było tak rozpaczliwie walczyć o wybicie się, a potem utrzymanie swojej pozycji, to czytelnik dowiadywał się od pisarza, co go interesuje, a nie na odwrót. Może popyt był większy? W naszej profesji elementarne prawa ekonomii nie działają tak prosto, dlatego kryterium ekonomiczne, ochrzczone szumnym mianem „polityki literackiej”, jest całkowicie pozbawione sensu. Nie zważam więc na przeczność: wypada czy nie wypada (warto czy też nie), aby pisarz, znany nie tylko z wierszy lirycznych, ale również publicystyki, siebie samego czynił bohaterem powieści, tej najbardziej fantastycznej powieści, jaką pisze rzeczywistość. Pomijając jednak kwestię przyzwoitości i użyteczności – i tu nastąpi koronny argument na rzecz mojego stanowiska – owszem, musiałem pokonać wewnętrzne opory, zanim zdecydowałem się opisać swoją sztokholmską przygodę. Wszak jeśli nawet nie za bardzo wyczuwam, czego ludzie *ode mnie oczekują*, naprawdę dużo rozmyślałem nad tym, czego ja sam *oczekuję od siebie*.

Z pewnością nie tego, co wystarczy do wiernego odwzorowania życia. Tak wiele moich spostrzeżeń domaga się opisanego, zwłaszcza teraz, gdy dostałem kolejne odroczenie i powinienem nadrobić zaległości. A skoro już mowa o ludziach – na świecie jest tylu ciekawszych ode mnie. Wszystko to, przed trybunałem mojego rozumu, wydawało się dużo

bardziej naglące niż konieczność osobistego wyznania. Stało się jednak coś osobliwego, czego się nie spodziewałem. Otóż okazało się, że nie tak łatwo – nie sądziłem, że do tego stopnia – być pisarzem: ta jakość to nie tylko *tytuł prawny*, ale także gorzki przymus, w skrajnych wypadkach wewnętrzny imperatyw, który pojawia się wbrew naszej woli. Nie chciałem zajmować się swoją osławioną chorobą, choćby dlatego, że człowiek, jak wiadomo, chętnie i szybko zapomina o bolesnych i groźnych przeżyciach, kiedy już się wybrnie z tarapatów. Człowiek tak, ale pisarz – nie. Przymus, żeby utrwalić wspomnienie, objawił się u mnie niczym druga choroba, która nieleczona nie pozwala mi do końca wyleczyć się z pierwszej.

*Recipe verbum* – zamiast zaklęć to *opis* jest balsamem i napojem zapomnienia w tej dziwnej aptece, którą nosi w duszy nieszczęsny artysta. Chyba więc miałem rację, kiedy w pewnym lekkim rapsodzie życie pisarza – z narodzinami, miłością, cierpieniem i rozkoszą – nazwałem materiałem do opanowania, z którego kiedyś, po śmierci, będzie musiał zdać egzamin przed jakąś komisją. Nie byłem tego świadom, ale teraz czuję bardzo wyraźnie, że zawsze to właśnie przedegzaminacyjna trema wciskała mi pióro do ręki, gdy brałem na warsztat przeżycia – często psuła mi radość, zarazem jednak łagodziła cierpienie podstępna *czujność*, która trzymając mnie

w napięciu, zmuszała, bym nie tylko przeżywał, ale także obrazował to, co się ze mną dzieje. Teraz, kiedy już naprawdę przekroczyłem pierwszą bramę *Niebiańskiego reportażu* (czy to nie dziwne, że również tę powieść pisałem wtedy, gdy choroba już się we mnie czaiła?), po powrocie odkrywam w swej teczce reportera mnóstwo zdjęć migawkowych: muszę je wywołać, w przeciwnym razie do końca życia będzie mnie dręczyło poczucie winy, że pozwoliłem, by przypadło choć jedno takie, którego pierwowzoru do tej pory nie znałem ani ja, ani inni.

Co zaś do zalecanej skromności, która chce mnie powstrzymać przed zajmowaniem się sobą...

Gwiżdżę na skromność. Już raz wyłuszczyłem, że skromny mogę być tylko *ja* – moja *opinia* zaś może być równie nieskromna, jak twierdzenie o dwumianie sformułowane przez łagodnego i wstydliwego Newtona, które aspirując do bycia powszechnym, wyraża na wskroś nieskromną opinię o świecie, bądź jak reklama nowo wynalezionego leku, który ma pomóc chorym.

Wydaje się, że można to odnieść nie tylko do naszych opinii, ale również doznań, jeśli są *uniwersalne*, a nie jedynie *indywidualne*.

Pozwolę sobie zatem zdać się na osąd czytelnika, w jakim stopniu udało mi się skonfrontować wrodzoną niedyskrecję pacjenta z wrodzoną dyskrecją lekarza.

I jeszcze jedno.

Powyższe wersy kierowałem do czytelnika inteligentnego, poniższe kieruję do reszty – wobec nich również pragnę być uprzejmy, nie wiedząc, która grupa jest liczniejsza.

Chociaż uważam, że wystarczająco wyjaśniłem, dlaczego piszę tę książkę, wyznam jeszcze jedno: nigdy bym się na to nie odważył, gdybym przed godziną nie przeczytał w pewnej skrajnie prawicowej gazecie notatki, w której oskarża się mnie o to, że swoją chorobę i wizytę słynnego chirurga w Budapeszcie wykorzystuję do robienia sobie autoreklamy. Byłoby tanim chwytem grzecznie poprosić autora notatki, żeby sam zechciał odbyć moją podróż do Sztokholmu, łącznie z operacją, i sprawdził, czy reklama się opłaca. Na takie oskarżenia można odpowiedzieć dwojako. Albo całkiem je ignorując, nie zaszczycając autora ani jednym słowem, albo pisząc całą książkę.

Jak Państwo widzą, wybrałem to drugie.

Budapeszt, 1936

## NIEWIDZIALNE POCIĄGI

Pewnego popołudnia, około dziesiątego marca tego roku, siedziałem w kawiarni Centralna na placu Uniwersyteckim i jadłem podwieczorek przy stoliku dla stałych gości, pod oknem, skąd z jednej strony widać bibliotekę, z drugiej budynek, w którym mieści się filia banku, zaopatrzony w szyld z napisem wielkimi literami: INSTYTUT MATKI. Wiele razy zastanawiałem się, czy naiwny przechodzień, zwłaszcza jeśli porusza się w ściśle rodzinnym kręgu pojęciowym, nie zrozumie tego napisu opacznie i nie pomyli Instytutu z jakąś szkołą dobroczynną, gdzie dziewczęta z ludu sposobi się do pełnienia ich najświętszego obowiązku – macierzyństwa. Ja oczywiście wiem, że nie o to chodzi, matkę straciłem w wieku sześciu lat i twardy los wcześniej nauczył mnie, jak odróżniać finanse od krzewienia oświaty wśród ludu.

Nie jestem pewien, ale owego pamiętnego popołudnia zajmowały mnie raczej sprawy finansowe niż krzewienie oświaty, co zresztą winno być pierwszą powinnością publicysty. Choć oczywiście dziedziny te mogą się ze sobą splatać – właśnie u pisarza. Ujmijmy to tak: akurat głowiłem się nad tym, co mam teraz napisać – czy najpierw tę zasadniczą rozprawę o miejscu współczesnego człowieka w społeczeństwie, czy też trzyaktówkę. W końcu postanowiłem zacząć od sztuki teatralnej, żeby dzięki honorarium, które za nią otrzymam, zapewnić sobie tyle wolnego czasu, ile zajmie mi napisanie rozprawy, zwłaszcza gdybym potraktował ją sumienniej i poważniej niż sztukę.

Podjąwszy decyzję, odetchnąłem z ulgą. Napisanie sztuki, rzecz jasna, też wymaga wielu przygotowań – trzeba omówić ją z dyrektorem teatru, obejrzeć kilka modnych spektakli, dowiedzieć się, co gdzie grają w bieżącym sezonie, i ewentualnie porozmawiać z aktorami. Tak, najwyższy czas, żebym i ja został autorem utworów scenicznych, to sprawa już wręcz nagląca. Właśnie miałem zadzwonić do D., kiedy przypomniałem sobie, że Pirandello zaczął pisać dopiero w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, a mimo to odniósł wielki sukces. Chłopcu, który już podązał do mego stolika z aparatem telefonicznym, natychmiast dałem znak, by zawrócić – wszak skoro Pirandello miał pięćdziesiąt sześć, to zdążę



spokojnie rozwiązać krzyżówkę, którą właśnie zacząłem. Trzeba wiedzieć bowiem, że od wielu lat raz na tydzień rozwiązuję krzyżówki w pewnym dzienniku; stało się to moim nawykiem, wręcz zabobonnym, toteż tydzień, w którym zaniechałbym tego zwyczaju, mógłby się okazać pechowy. A przecież wciąż się przy nich złościłem! Redaktor działu – nie mam przyjemności znać go osobiście – zawsze wprowadza do krzyżówki jakieś hasło. Są to świetne, smakowite przysłowia albo porzekadła ludowe, kłopot w tym, że nieistniejące – pewnie sam je wymyśla i tylko ze skromności albo artystycznej pychy przypisuje ich autorstwo ludowi, jak Kálmán Thaly\* swoje słynne „oryginalne” ballady kurucowskie. Oto przykłady: „Plisiuk w prawo, a klęski swoje” albo: „Makuch niewieścich łez”. Proszę sobie wyobrazić, jak trudno zrekonstruować nieznaną sentencję czy przysłowie, kiedy brakuje w nich liter. Już nawet chciałem do tego redaktora napisać albo głośno mu nawymyślać gdzieś na ulicy.

Całkiem prawdopodobne, że wtedy w kawiarni myślałem właśnie o tym, bo o ile pamiętam, byłem

---

\* Kálmán Thaly (1839–1909) – poeta i polityk. Wydał obszerny zbiór tekstów źródłowych z czasu powstania Rakoczego; często dopuszczał się mistyfikacji, publikując własne wiersze jako anonimową poezję powstańczą, tzw. poezję kuruców. (Jeżeli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki).

mocno zirytowany. Miałem takie litery: „ors... .. kata ..ba ....ata?”. Nie chciałbym obciążać sumienia kolegi hipotezą, że moja choroba zaczęła się od tej krzyżówki (okaże się, że trwała już od dawna), ale przyznaję, byłem naprawdę wściekły. Co to za „ors... .. kata ..ba ....ata?”. Nie ma czegoś takiego! Aż spurpurowiałem z wysiłku, chcąc odgadnąć to podejrzone przysłowie.

Wtedy ruszył pociąg. Punktualnie, zgodnie z rozkładem jazdy, o godzinie siódmej dziesiątej.

Zdziwiony poderwałem głowę. Co się dzieje? Słyszę łomot lokomotywy, która rusza z miejsca, zgrzyt kół, kiedy ociążale, powoli się rozpędza, a po chwili głośne dudnienie: pociąg przejeżdża obok i toczy się dalej; dudnienie przycicha, jak w *Ej, uchniem*, pieśni burłaków ciągnących barkę.

Może to ciężarówka... Wróciłem do tajemniczego przysłowia.

Niestety, po minucie ruszył następny pociąg, w tym samym rytmie co poprzedni. Załomotał, zazgrzytał, zadudnił, umilkł.

Zdenerwowany odwróciłem głowę w stronę bocznej uliczki. Co, u diabła, czy gdzieś tutaj kursuje pociąg albo testują jakiś nowy pojazd? Ostatni pociąg na ulicach Pesztu widziałem jako siedmiolatek; była to kolejka parowa i jeździła ulicą Barossa, gdzie mieszkaliśmy. Od tamtej pory,

o ile wiem, jeżdżą tu tylko tramwaje, ale nie po Uniwersyteckiej.

Za oknem przemknęło kilka aut, nic więcej. Jeszcze trzy razy podnosiłem głowę. Dopiero przy czwartym pociągu uświadomiłem sobie, że to halucynacje.

Nigdy nie miałem tak silnych omamów słuchowych, więc to zrozumiałe, że nie od razu się zorientowałem. Często mi się zdarzało, już od dzieciństwa – zazwyczaj kiedy szedłem ulicą, ale także w domu – słyszeć za plecami swoje imię; jakiś głos cicho szeptał: „Frici”. Ktoś chce mnie ostrzec, myślałem, lub woła do mnie jakiś dawny znajomy, który nie ma śmiałości głośniej krzyknąć; głos brzmi dziwnie znajomo – może to ktoś z odległej przeszłości, kogo uznałem za zmarłego, daleki krewny, który wcale nie umarł, tylko popadł w nędzę i gdzieś się zaszył, a teraz, chociaż się krępuje, chce mi przekazać pilną wiadomość, po czym znów zniknie. Początkowo nawet nie odwracałem się w takiej sytuacji; w końcu uzmysłowiłem sobie, że to tylko omamy, nie przejmowałem się, szedłem dalej, i wręcz polubiłem ów tajemniczy głos. Teraz było inaczej.

Słyszałem agresywny, hałaśliwy, natarczywy dźwięk. Stukot pociągu, tak głośny, że zagłuszał